

Było to przed pięciu laty

Tę sierpniową niedzielę, Hansa Globke — który jakby dlatego właśnie pozostał mimo emerytalnego wieku szefem bońskiego Urzędu Kancelarskiego, ponieważ znana była powszechnie jego wierna służba Trzeciej Rzeszy — dzwonek telefonu wyrwał ze snu o 4.45. Początkowo zaspany, totumfacti Adenauera, usłyszawszy, iż odpoczynek zakłóca mu jakiś nieznaną dziennikar, zamierzał zbesztać intruza. Kiedy wszakże niedelikatny informator, nie bawiąc się w kurtuazję, zakomunikował, iż nocą została zamknięta granica pomiędzy Berlinem Demokratycznym a zachodnimi sektorami tego miasta, że granicę tę kontrolują silne kontyngenty Volksarmee i robotniczych Grup Bojowych — sekretarz stanu poczuł się jak po lodowatym prysznicu.

Jeśli nawet (łudząc się jeszcze, iż to tylko kaczka dziennikarska), wahał się natychmiast poderwać ze snu Adenauera, resztki nadziei rozwał tekst komunikatu przekazanego wkrótce na falach wszystkich rozgłośni NRD.

... w celu połączenia kresu wrogiej działalności odwetowych sił tarystycznych sił Niemiec Zachodnich i Berlina zachodniego, wprowadza się na granicach Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w tym również na granicach Berlina zachodniego, taką kontrolę, jaka obowiązuje na granicach wszystkich państw suwerennych...

Ale nawet wówczas, być może biorąc pod uwagę podeszły wiek swego szefa, Globke postanowił zaalarmować go przy pomocy pośrednika. Wciąż jeszcze tkwiąc w nocnej koszuli, wykreślił numer telefonu pani Schlieff, będącej od niepamiętnych czasów gospodynią domu Adenauera w Bad Honnef. Poprosił ją, by niezwłocznie obudziła swego chlebodawcę, komunikując mu co zasłó. I kiedy ta, aczkolwiek nie chętnie, nie rozumiejąc po co ten pośpiech, spełniła prośbę — zegary odmierzają już szóstą godzinę niedzieli 13 sierpnia 1961 roku.

Przez wszystkie pozostałe godziny tego dnia, telefony członków dworu Adenauera były bez przerwy blokowane długotrwałymi rozmowami. Radzono się co czynić. I dochodzono do wniosku, że nie można zrobić. Związka że NATO-wscy sojusznicy rewidzjonizmu zachodnioniemieckiego, nie byli skłonni rozpoczynać trzeciej wojny światowej, ponieważ rzekomo nieistniejące (w interpretacji bońskiej) drugie państwo niemieckie, podjęło kroki w celu zabezpieczenia swych granic. Premier brytyjski demonstracyjnie wyjechał na polowanie...

Zaś Waszyngton? Co prawda jeszcze 13 czerwca inspirowany przez Pentagon tygodnik amerykański „Newsweek” informował, iż na wypadek „ostrego kryzysu berlińskiego” placówki NATO przygotowały 32 warianty działań przeciwko

NRD. M. in. przewidujące wystrzelenie „w razie potrzeby” w ciągu 15 minut 60 pocisków rakietowych Thor i Jupiter z głowicami nuklearnymi. W innym przypadku przebijanie się sił NATO do Berlina, przy jednoczesnym zrzuconiu małych bomb atomowych, w celu zademonstrowania zdecydowanego stanowiska Zachodu. O ile zaś nie złałoby to oporu państw Układu Warszawskiego, rozpocząć się miałyby (!) trzecia wojna światowa. Ale to były tylko buńczuczno-szałe pogłoski, szerzone nieoficjalnie. Teraz, Waszyngton gotów był podyktować NATO jedynie formułę, iż NATO zamierza obserwować rozwój sytuacji w Berlinie „z wielką uwagą i czujnością”.

Kiedy też w poniedziałek (dopiero w poniedziałek!) Adenauer oraz jego minister spraw zagranicznych von Brentano wystąpili wreszcie przed kamerami telewizji zachodnioniemieckiej — sprawozdawca „Frankfurter Allgemeine Zeitung” musiał przyznać: „Obydwaj panowie nie wydawali się tak promienni jak na propagandowych plaka-

tach. Ich oblicza były szare, postawy znamionujące załamanie... To zaś co powiedzieli, było poświadczeniem fiaska ich polityki”. Flaska polityki siły!

Operającej się początkowo na świętej wierze, że wcześniej czy później Zachód podejmie krucjatę antykomunistyczną. Zwycięska, a więc pozwalająca zrealizować także „specyficznie narodowe cele” wiernych NATO spadkobierców Trzeciej Rzeszy. Jeśli zaś nawet w miarę upływu lat, wraz ze wzrostem sił obronnych państw Układu Warszawskiego, miały szanse wojennej victorii NATO, a plany ludobójcze stawały się coraz bardziej obojętne — wciąż jeszcze w Bonn liczono na efektywność szantażu. Wciąż jeszcze spekulowano, że przebieg komunistyczny wschód będzie musiał ustąpić, jeśli zostanie do tego zmuszony groźbą „sprowokowanego swym uporem” kataklizmu. Stojąc w obliczu „zdecydowanej postawy wolnego świata”, nie będzie chciał dla utrzymania popocządkowskiego status quo ryzykować totalnej zagłady.

Szkola mentalności Hitlera (który też „nie chciał” wojny, został jedynie do niej „zmuszony” przez Polaków) przeżywała renesans w umysłach jego chadeckich spadkobierców. Związka że w roku 1961.

Może dlatego, że w Pentagonie i w Bonn zdawano sobie sprawę, iż czas permanentnie pracuje na rzecz wschodu. Że wkrótce już dalszy wzrost sił obronnych państw socjalistycznych ostatecznie odbierze nawet pozory realności „konfrontacji z pozycji siły”. A więc póki jeszcze można, zamierzano tą drogą przesunąć przynajmniej żelazną kurtynę znad Łaby po Odrę. W tym celu zaczęto też koncentrować wszelkie

tygodnia

OGŁADY
POLEMIKI
POSTULATY

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 250 14 VIII 1966 r. Rok VI

wysiłki na froncie akcji przeciwko NRD. Wykorzystując jej otwarte granice, próbowano podkopywać ekonomikę tego antyimperialistycznego państwa niemieckiego. Z zachodnioniemieckiego azylu dywersji prowadzono prowokacje, mające p wnego dnia stworzyć pretekst do zastosowania środków antywschodniego szantażu „po krawędź wojny”.

Z jednej strony więc politycy bońscy prowadzili werbunek sił antykomunistycznych, nawoływali do stanowczości. Jeszcze w końcu lipca, komiwojażer bońskiego militarysty Franz Josef Strauss, nawoływał podczas swego tournée po Stanach Zjednoczonych, że „młoch komunizmu” zmusza do „przeprowadzenia nie małych manewrów, lecz

udzielenia historycznej odpowiedzi”. Że NATO „musi mieć ofensywne cele polityczne”. Że nie wolno zapominać „o dążeniach wolnościowych narodów ujarzmionych przez komunizm”.

Jak gdyby przypadkowo, w tym samym czasie wzmagano prowokacyjną historię w NRF. Koncern prasowy — czerpiąc doświadczenia z podobnych akcji w latach 1938—1939 — przygotowały psychicznie swych czytelników do rozprawy w imię „świętych praw”. W krzykliwych tytułach, „wolne” dzienniki zachodnioniemieckie coraz bardziej wykorzystywały dawne, goebbelsowskie, przygotowywały antypolski Wrzesień, pomysł „uderzenia” propagandy.

O ile tylko w sierpniu 1939 roku pisywano: „Polska policja wzmagając terror przeciwko Volksdeutschom”: „Już 77.000 uciekinierów z Polski”; „Wstrząsający los rodzin uciekinierów z polskiego piekła” — teraz słowa „polski”, „Polska”, zastępowano możliwie najbardziej obraźliwymi synonimami NRD.

Jeszcze w sobotę zachodnioniemiecki „Der Tag” epatował się senacją „1500 wypędzonych strachem”. Jednocześnie donosił o dalszym przemieszczaniu kontyngentów amerykańskich do Europy... Ale już w niedzielę 13 sierpnia 1961 roku postanowienia granicznej Rady Ministrów NRD położyły kres dalszemu rozwijaniu antykomunistycznej mobilizacji w celu udzielenia — jak to sformułował Strauss „historycznej odpowiedzi”.

Środki obronne, podjęte przez NRD, zapobiegły temu, iż Adenauer mógł pewnego dnia oświadczyć

Dokończenie na str. 2

Wiesław Porzycki

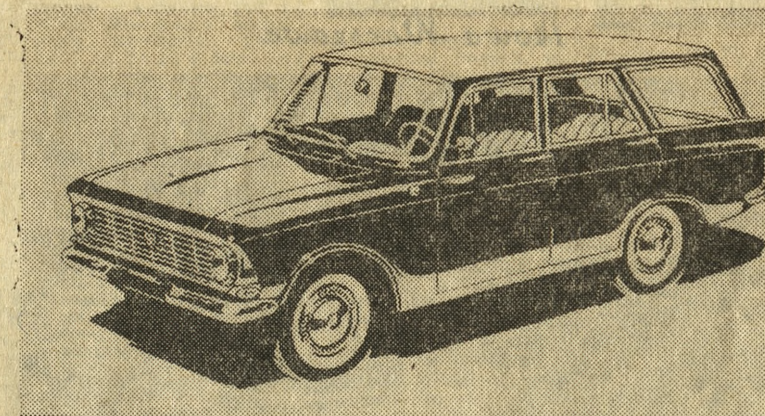
MZMA znaczy MOSKWICZ

W ołogradzki Prospekt nie jest nazbyt odległy od centrum Moskwy. To tu właśnie, obok wiaduktu, którym prowadzi droga do dalekiego miasta — bohatera, rozlokowały się zabudowania fabryki samochodów, eksploatowanych już w czterdziestu krajach świata. Moskowskiej Zawod Małolitrażnych Awtomobiliej, to po prostu „Moskwicz”.

Gmachy MZMA, z szarej cegły, nie stanowią dla oka obiektu godnego uwagi. Dzisiejsza wytwórnia samochodów, wzniesiona w 1930 roku jako zakład remontowy, ma za sobą trzy fazy rozwoju. Tu narodził się w osiem lat później, pierwszy skonstruowany całkowicie w ZSRR, dzisiaj legendarny samochód osobowy KIM. Wojna przerwała jego produkcję; w roku 1947 z taśmy MZMA zjechał pierwszy z serii „Moskwiczów”. Od tej pory w fabryce opracowano, bardziej lub mniej udanych około 40 modeli. W ciągu bezmała dwudziestu lat „Moskwicz” zawędrował na wszystkie kontynenty. Czerwony znaczek z wieżyczkami kremowych murów stał się stopniowo synonimem wozu wytrzymałego, solidnego, dającego kierowcom nie mało satysfakcji.

Mniej więcej co trzy minuty pomiędzy filarami fabrycznej bramy pojawia się nowy samochód, prowadzony przez zakładowych kierowców na pierwszą dziewczą turę. W MZMA pracuje się na dwie zmiany. Dwieście sześćdziesiąt wozów na dobę, ok. 80 tysięcy rocznie. To wielokrotnie więcej niż kiedyś. To wciąż jeszcze dziesięć razy mniej niż chce się produkować osobowych aut w ZSRR za lat pięć!

Prawie dwieście fabryk, wielkich i małych, zasilą MZMA w odlewy, metalowe detale, ogumienie, tkaniny, akcesoria elektryczne, lakiery, masy plastyczne. Siedemnaście tysięcy ludzi, przeważnie młodych, na których czele stoi dwu i półtysięczna grupa inżynierów i techników — stoi obecnie wobec zadania gwałtownego zwiększenia produkcji „Moskwiczów” i równoczesnego ich doskonalenia.



„Moskwicz” 426 combi. Jego produkcję fabryka podejmuje w tym półroczu. A propos nowego „Moskwicza”: jeden z pierwszych samochodów tego typu został подарowany w ubiegłym roku pani Kekkonen, małżonce prezydenta Finlandii, z którym to krajem łączą ZSRR bardzo dobre stosunki polityczne

Dokończenie na str. 2

Sztuczny doping - rak sportu

Nie wystarczają już spontaniczne okrzyki tysięcy widzów zebranych na trybunach, zagrzewające do walki. Trenerom pracującym nad maksymalnym wykorzystaniem możliwości zawodnika, do granic wytrzymałości organizmu przyszli w sukurs anatomicy, biologowie, fizjologowie oraz inżynierowie z całym arsenałem nowych wynalazków (np. szklane tyczki) poprawiających wynik. Ostatnio dołączyli chemicy-farmaceuci przygotowujący tzw. środki dopingujące, których liczba i różnorodność stale wzrasta.

Pogoń za rezultatem na poziomie światowym tak opętała pseudo-działaczy, — trenerów czy — wychowawców, że z zawodnika uczynio no narzędzie, niemal bez reszty podporządkowane ich woli. Menażerowie nie wahają się stosować nawet najbardziej rujnujących organizm środków. Źródłem wszelkiego zła stał się sport zawodowy, oparty na maksymalnych zyskach czerpanych zarówno przez klub jak i zawodnika, uwarunkowanych oczywiście zwycięstwem. Dla jednorazowego sukcesu (np. wygrania poważnej walki w boksie zawodowym), za którym kryje się solidny zastrzyk finansowy, zawodnik gotów jest poddać się zabiegowi zwiększającemu szanse o kilkadziesiąt procent, bez względu na późniejsze skutki.

Niezwykle szybko skorzystali z tych wzorów również amatorzy, między którymi są przecież i potencjalni zawodowcy, traktujący sport jako intratne źródło dochodu. Tak

zaczął się szerzyć oplakany w swych skutkach sztuczny doping organizmu. Zapotrzebowanie zrodziło aparat producentów i handlarzy zabójczych zastrzyków i tabletek. Przemysłowe gangi, na wzór handlarzy narkotykami, opanowały świat i dysponują bogatymi zestawami środków farmaceutycznych pomagających zawodnikom wygrywać w różnych warunkach.

Niedawno kierownik Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu prof. dr Edmund Chrościelewski, interesujący się tym zagadnieniem, użył bardzo ciekawego porównania chemicznych środków dopingujących ze smarami do nart. Jak narciarz w zależności od profilu terenu, długości trasy, temperatury, wilgotności i innych czynników dobiera odpowiednie zestawy smarów, tak sportowcy w zależności od warunków i środowiska stosują odpowiednie środki. Są więc działające w krótkim stosunkowo czasie — np. u bokserów, sprinterów, lub na dłużej, dla piłkarzy czy koszykarzy i przez wiele godzin dla kolarzy długodystansowców. Są specjalne środki na stadion gdzie temperatura jest wysoka i do środowiska wodnego. Szkodliwe dla zdrowia są wszystkie, ale zupełnie spustoszenie w organizmie powoduje niewłaściwe dawkowanie lub, z braku dostatecznej znajomości rodzajów środków farmakologicznych, zażywanie nie właściwego doping. W takich ra-

zach następuje nie częściowe zachwianie proporcji w pracy organizmu, ale jego całkowita ruina. Ofiary pomyłek kończą tragicznie.

Pierwsze śmiertelne ofiary przyniosły Igrzyska Olimpijskie w Rzymie. Pamiętamy doskonale tragedię jaka rozegrała się podczas wyścigu kolarskiego w skwarne południe. Ten sygnał nie zrobił jednak większego wrażenia na sportowcach stosujących doping, podobnie jak bezskuteczne jest opowiadanie nałogowemu alkoholikowi o szkodliwości picia wódki. Kroniki sportowe zaczęły notować coraz więcej wypadków świadczących o stosowaniu doping farmakologicznego. Podczas jednego z Tour de France, wielkiego wyścigu kolarzy zawodowych, czółowka pokonywała alpejskie wzniesienia z nieprawdopodobną łatwością. Nie wszyscy menażerowie przeżyli jednak, że tego dnia na dużych wysokościach panować będzie wysoka temperatura. Oszukane organizmy kolarzy nie wytrzymały obciążenia. Na kolejnym dłuższym podejściu spadali zawodnicy z rowerów a przeniesieni do karet pod gotowia demolowali ich wnętrza pod wpływem szoku. Tak kończył się udział w imprezie i kariera zawodnika.

Wtajemniczeni twierdzą, że świat sportowy opanowała orgia środków farmakologicznych. Sztuczny doping jest rakiem, który niszczy wszystko, co jeszcze było zdrowe w sporcie.

Rozpoczęto więc zakrojoną na szeroką skalę walkę z wszelkimi przejawami sztucznego usuwania uczucia zmęczenia, bólu i potęgowania zdolności wysiłku fizycznego. W Belgii odbyła się specjalna sesja UNESCO poświęcona tym zagadnieniom. Nie było na niej, niestety, polskich specjalistów zainteresowanych także żywo tymi sprawami. Trudno bowiem całkowicie odrzucić twierdzenie, iż niektórzy nasi zawodnicy startując na różnych stadionach, w różnym towarzystwie nie zapoznali się praktycznie z tymi środkami. Szczególnie na zachodzie gdzie sieć handlowa jest bardzo rozpowszechniona. Sposoby wykrywania tych przemysłowych, złożonych substancji, sposobów walki z nimi w zarodku jest również dla nas problemem bardzo istotnym.

Przecież nie przypadkowo organizatorzy tegorocznego Wyścigu Pokoju wprowadzili obowiązek badania pierwszych trzech kolarzy i dwóch wylosowanych z pozostałej stawki na mecie każdego etapu, na okoliczność stosowania sztucznego doping. Badania te, jak informowaliśmy, prowadził w naszym kraju poznański Zakład Medycyny Sądowej AM. Orzeczenia Zakładu mają wartość dowodową i są respektowane przez każdy sąd. Sprawa doping znajduje jednak na razie odbicie tylko w niektórych regulaminach sportowych a ewentualne konsekwencje, w wypadku stwierdzenia sztucznego doping, ograniczają się

w zasadzie tylko do życia sportowego.

Pierwszym państwem, które oficjalnie uznało sztuczny doping za przestępstwo jest Francja. 1 stycznia ubr. ukazała się ustawa przewidująca represje karne wobec osób, które będą stosowały doping farmakologiczny. W ustawie tej stwierdzono, że „za doping uważa się używanie substancji i środków przeznaczonych do sztucznego zwiększenia sprawności w związku lub z okazji zawodów sportowych, które może przynieść ujem lub uszczerbek etyce sportowej lub też szkodę fizyczną i psychiczną dla sportowca”. Karze podlegają zarówno ci, którzy świadomie stosują te środki jak równie ci, którzy ułatwiają lub namawiają do ich użycia. Szczególnie ostro potraktowano tych ostatnich. Grozi im wysoka kara pieniężna i areszt 1 roku.

Podczas ostatnich piłkarskich mistrzostw świata w Anglii również prowadzono badania antydopingowe. Wynika z tego, że front walki z zatrutowaniem organizmu i nieuczciwą grą się rozszerza. Wydaje się jednak, że jest on jeszcze niedostatecznie operatywny w stosunku do przebiegłości jaką wykazują producenci środków i rozmiarów jakie zaczyna przyjmować sztuczny doping.

Tylko bezwzględna walka z tą chorobą trawiącą sport może uratować wiele zdrowych, młodych organizmów. Nie należy bowiem zapominać, że nawet najpiękniejszy rekord świata jest mniej wart od zdrowia jego autora.

BOGDAN DOHNKE

Te jedne pięć dni w roku

— Czuwaj, druho!

Mały, opalony na brąz smyk z krętą, czarną czupryną mijając mnie patrzy trochę jakby wyczekująco.

— „Czuwaj” — mówię i przechodzę środkiem obozowego placu, a ktoś obok mnie śmieje się z nutą satysfakcji: „ale nam się Moro wyrobił towarzysko, co?”

— Moro?

— No ten mały Cygan, który pania tak szarmancko powitał u nas.

Okazuje się, że prawie każdy obóz ma swoją maskotkę albo raczej swojego totema. W stancji lata nieobozowego. W podgwieźnijskim Mielnie. Takim totemem jest Moro. Komendant stancji, Broniek Frankowski, bezzadanie rozkłada ręce: — No, bo jak tu takiego wyrzucić? Mielniśmy go w lipcu u siebie, w Gnieźnie. Prowadziliśmy tam przez cały miesiąc takie same czterydniowe turnusy dla dzieci. przyjeżdżających z wsi. Trochę rozrabiał ale... Kiedy dowiedział się, że na sierpień tu wyjeżdżamy — zameldował się u mnie natychmiast. Trudno, musiałem mu długo tłumaczyć, że był już z nami, że inne dzieci też chcą i tak dalej. Ale kiedy nasza kadra, przyjechała do Mielna, żeby obóz przygotować — Moro już był na miejscu. Okazało się, że przyszedł on z Gniezna pieszo. No i jak tu takiego wyrzucić? —

Patrzę na pochylone przed namiotami sylwetki, jeszcze barwne, w świetle ostatnich promieni słońca.

GRANICA

Dokończenie ze str. 1

na wzór swego poprzednika: „Od 4.45 odstrzelujemy się”.

Po prostu 13 sierpnia 1961 roku o 4.45 Hans Globke został obudzony przez nieznanego mu dziennikarza. Ten zakomunikował mu wiadomość, znamionującą początek końca kryzysu berlińskiego.

Ze był to początek końca kryzysu berlińskiego — po którym tyle spodziewali się politycy bońscy — świadczy o tym ostatnie pięciolecie.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Nowa Warszawa



Skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z ul. Marszałkowską z widokiem na Ścianę Wschodnią. CAF — Uchymiak

Przeglądamy Prase

WIELKA TRÓJKA A POLSKA

Taki tytuł nosi nowy cykl artykułów Włodzimierza T. Kowalskiego w tygodniku „Kultura”. W pierwszym artykule pt. „Winston Churchill” — autor opisuje stosunek angielskiego polityka do sprawy Polski i Polaków w okresie II wojny światowej. W. Churchill — stwierdza W. T. Kowalski — pierwszy spośród Wielkiej Trójki zetknął się bezpośrednio z problemami polskimi podczas wojny, już 19 czerwca 1940 r. doszło do historycznego spotkania Sikorskiego z Churchillem, kiedy to Churchill oświadczył zaniepokojonemu Sikorskiemu, który obawiał się, że W. Brytania pójdzie na kompromis z Hitlerem, że Anglia będzie walczyła aż do zwycięskiego końca. Ale Churchill, mimo sojuszu z Polakami, myślał przede wszystkim o interesach Anglii.

„W październiku 1944 r. — pisał W. T. Kowalski — podczas rozmów ze Stalinem i Mikojałczym w Moskwie Churchill walczył o utworzenie wspólnego rządu przez Mikojałczkę z większością londyńską. Przeciwno tym projektom wystąpił Bierut, Osóbka

necznych. Coś tam gorączkowo poprawiają przy namiotach, coś nieprawie majstrują. „Już wiedzą, że każdy namiot uczestniczy w konkursie o czystość i estetykę — wyjaśnia mi jedna z opiekunek zastępów, jasnowłosa Basia.

Większość z nich jest pod harcerskim namiotem po raz pierwszy. Te pięć dni spędzone w Mielnie to dla wielu — całe wakacje. Gdyby

Lato z harcerzami

nie harcerze pozostałyby dla nich narożniki zakurzonych ulic, znane na pamięć alejki skwerów lub — samowolne i ryzykowne wyprawy nad wodę. Komenda hufca ZHP Gniezno, podjęła akcję dwa lata temu. Oprócz stałych obozów postanowiono urządzać także stancje, które by potrafiły — choćby na parę dni — stworzyć pozostałej i przede wszystkim przeważającej liczbie grupie młodzieży nigdzie nie wyjeżdżającej — namiastkę wielkiej, wakacyjnej przygody.

Kiedy cichnie brzęk mytych po kolacji menażek, kiedy podniesiona na sosnowym maszcie flaga odpływa jakby wraz z ciemniejącymi w zmierzchu obłokami — przed namiotem komendanta melduje się pierwsza warta. Przejęte, skupione buzie najmłodszych... Trzeba obchodzić cały obóz. I nie wstrząsnąć alarmu bez poważnego powodu. I nie wpuścić do obozu nikogo obcego. Tak. Tak jest, druho oboźny. Oboźny Marcin Sobota przypomina zastępowemu: „Na nocne godziny warty, wyznaczyć starszych”.

Obóz cichnie. Zielone, pomarańczowe i szare płachty namiotów opadają nad śpiącymi. Jeszcze w namiocie żeńskiej kadry — siedmiu młodziutkich adeptów sztuki pedagogicznej — omawia, wraz z drużyną Olą Paszkiewicz, czyli z cą komendanta do spraw programowych, jutrzejsze zajęcia.

— Tak dziewczyski. Zwiad terenowy mamy już za sobą. Jutro możemy zacząć normalne zajęcia.

— To znaczy? — wtrącam

— Tu chodzi o to, żeby przede

wszystkim nauczyć młodzież pracy harcerek, żeby wyszkolić np. wodzów podwórek, którzy by potrafili organizować potem lato nieobozowe na swoich podwórkach, w swoich wsiach. To się chyba dzieciom podoba, bo wszyscy uczestnicy naszych turnusów niemal w 100% zapisują się do ZHP. Poza tym... „akcja niewidzialnej ręki” —

Dobre, co? — ktoś mnie tam w mroku trąca w łokieć, bynajmniej przecież nie drwiąco. Ola poważnie wyjaśnia dalej — to jest po prostu praca społeczna dla tutejszego środowiska. Wynaleźć ich tzn. mieszkańców najbliższe (oczywiście, że na naszą miarę) kłopoty — pomóc w ich załatwieniu. Niech to będzie zwykły naprawiony płot, niech to będzie zielone przedszkole. Niech to będzie wreszcie śmietnik, zbudowany na terenie naszego obozu. Przy tym oczywiście normalne zdawanie harcerskich sprawności. No i potem ogniska. Z występami, pewnie. Każdy zastęp wyłania swoje talenty. Tu również jest kontakt z dziećmi miejscowymi, podobnie jak przy zajęciach sportowych, np. wesołych zawodach.

Ktoś nagle staje przed nami z lalkami do teatryku. Uroczę, cebulowe buzie z konopianą strzechą jasných włosów, zatknięte na patyku — dzieło samych dzieci, tych ze stancji. Teatrzyk też będzie: potem lalki powędrują do najmłodszych z Mielna.

Nie, nie mówmy już o wycieczkach i plażowaniu, nie mówmy o wyprawach na grzyby i gróźnej próbie odwagi. Czyż mogą nie być fascynujące? Zwłaszcza... przez jedne pięć dni w roku.

P. S. Dodajmy, że w całym województwie z lata nieobozowego korzysta w tym roku około 60 tysięcy dzieci.

Roman Reinfuss, zawzięty tropiciel sztuki ludowej, którego kilka prac anonsowałem już na tym miejscu, zajął się obecnie ginącym, a niesłychanie interesującym przejawem zdobnictwa, mianowicie malarstwem na kablach piecowych. Wynikł z tego piękny album „Ludowe kable malowane”, doskonale opracowany graficznie, a wydany nakładem Wydawnictwa Literackiego. Autor poprzez szerszy wstęp o przeszłości kablarni dekoracyjnej w ogóle, przechodzi do analizy i prezentacji kablarni polskiej, charakterystycznego tematyką świecką, wprowadzaniem treści narodowych, bardzo wreszcie bogatą, zaskakującą wszechstronnością skalą zainteresowań.

Skoro jesteśmy przy sztuce, warto zalecić wydany staraniem „Ossolineum” album „Władysław Skoczylas” z tekstem Marii Grońskiej. Autorka w bezpretensjonalny sposób maluje na tle rozwojowym sylwetkę tego niecodziennego artysty, inicjatora i twórcy nowoczesnego drzeworytu w Polsce, człowieka, którego nazwisko po lata trzydzieste z górą wiązało się ze wszystkim, co żywsze i dynamiczniejsze w plastyce polskiej. Dorobek Skoczylasa jest ogromny, wszakże w pamięci publicznej pozostał przede wszystkim jako piewca góralszczyzny autor „Teki Zbójcekiej” i „Teki Podhalańskiej”. Grońska poszerza to ciasne widzenie wska-

MZMA znaczy MOSKWICZ

Dokończenie ze str. 1

niewiaś dobiło się w fabryce eksploatowanych stanowisk. Przed wejściem do hali montażu, gdzie panuje spory zgiełk, dowiaduję się jeszcze, iż MZMA dysponuje polikliniką z pięćdziesięcioma pięcioma lekarzami i prawie setką pielęgniarek.

Montaż — technicznie mniej, wizualnie za to najbardziej ciekawa faza produkcyjna. Właśnie do tej hali trafiają produkty licznych kooperantów MZMA, efekty pracy trzydziestu linii automatycznych fabryki i wytworów licznych jej oddziałów. Tu, w długim, wąskim pomieszczeniu, gdzie miejsca starcza akurat na dwa rzędy samochodów a pod pulapem suną, zawieszono w uchwytach przenośników, rozmaite elementy samochodu — powstaje „Moskwicz”. Wprawne ręce w kombinacjach powtarzają dobrze znane czynności. Martwa początkowo karo seria wzbogaca się o resory, koła, szyby, silnik, otrzymuje siedzenia, reflektory. Pierwsze tankowanie benzyny. Jeszcze regulacja kół — i wóz opuszcza halę.

Monotonna precyzja, odmierzana wskazówkami elektrycznych zegarów, tempem przesuwania się taśmy montażowej, czasem dyspozycjami z megafonów. Przypominają mi się natrętnie liczne techniczne dane, do których „czterystaśosemki”, czytane przed przyjazdem do Moskwy w „Motorze”. Zaraz będziemy rozmawiali o planach rozwojowych fabryki.

Niezłomowany Sądownik przekazuje tymczasem dalsze informacje. Fabryka ma naturalnie stołówkę. Pracownikom chorem posiłki dietyczne wydawane są bezpłatnie. Ma też załoga swoje domy wczasowe i sanatoria na Krymie i u stóp Kaukazu. Najciekawszą jednak formą wyróżnienia przodujących pracowników wydają mi się stuosobowe rajdy weekendowe odrzutowcem do Leningradu, organizowane przez za-

kład. Załoga „Moskwicza” wydaje także codzienną gazetę, ma klub sportowy noszący fabryczne imię, dysponujący stadionem i halą.

W biurze dyrekcyjnym znalazła od produkcyjnego zgiełku, poznaje perspektywy rozwoju MZMA. Fundamentem ich zamierzeń stały się dyrektywy XXIII Zjazdu KPZR, który uznał za konieczne 3—4-krotne zwiększenie dostaw samochodów przez przemysł radziecki. „Moskwiczowi” wyznaczono potężne zadanie: w końcu bieżącej pięcioletki fabryka ma wytworzyć 200 tysięcy wozów, to znaczy jedną czwartą całej produkcji samochodów osobowych w ZSRR, która w roku 1970 ma osiągnąć ośmiuset tysięcy maszyn.

Aby stawić czoła nakreślonym przez partię planom, zaprojektowano na terenie położonym obok istniejącej fabryki nowy zakład z nowoczesną wytłaczalnią nadwozi, malarnią i halą montażu. Dotychczasowe obiekty przeznaczone są wyłącznie na potrzeby działów obróbki mechanicznej. Maszyny mają dostarczyć Francuzi, umowa została podpisana.

Załoga upatruje w dyrektywach partii swą życiową szansę. Obsada, w związku z postępującą automatyzacją produkcji, zwiększy się tylko o 25 procent; wyłaniają się realne perspektywy na zwiększenie zarobków (obecnie w „Moskwicu” średnia płaca wynosi 112 rubli). MZMA stanie się potężnym kombinatem, przybliżającym dzień, kiedy samochód będzie czymś powszechnie dostępnym dla ludzi pracy.

Na razie w realnych granicach nasych możliwości płatniczych znajdują się „Moskwicze”... na pedały, których fabryka dostarcza, w ramach produkcji ubocznej, domom towarowym, ku uciesze dzieci, co roku aż 70 000. No, ale tych pojazdów jakoś dotychczas do nas się nie sprowadza...

WIESŁAW PORZYCKI

zując na inne sukcesy Skoczylasa, przede wszystkim jednak na osobowość tego artysty, kontynuatora sztuki narodowej, wspierającej się o pierwiastek ludowy, organizatora i pedagoga artysty niesłychanie witalnego afirmującego życie bez reszty.

Przechodząc do spraw literatury pragnę najsampliwier ukazać

Eugeniusz Paukszta

Literatura i sztuka

wydany przez toż „Ossolineum” tomik „Aswaghosza — Wybrane pieśni epiczne”, przełożony bezpośrednio z sanskrytu przez Andrzeja Gawrońskiego, obecnie, po 40 latach, ponownie wydany z uzupełnieniami Eugeniusza Śluszkiewicza. Aswaghosza, nawrócony na buddyzm bramini, żyjący w pierwszej poł. II w. n. ery, to geniusz indyjski, epik, dramaturg, liryk, filozof, teolog zarazem po którym pozostały dwa główne dzieła, pisane w sanskrycie, mianowicie „Buddhacarita”, epopeja o Buddzie i „Saundarananda”, poemat o pięknym Nandzie. Autor przez całe wieki pozostawał żywym w tradycji literackiej, ale niejako odkryli go na nowo do-

piero uczeni europejscy XIX wieku.

Pozostając przy „Ossolineum”, informuję, że po kilku uprzednio wydanych podobnych zarysach, otrzymujemy teraz wyszły spod pióra Marii Strzałkowskiej „Zarys Historii Literatury Hiszpańskiej”. W zasadzie jest to pierwsze w Polsce również obszernie opracowanie historii tej literatury, znajdującej u nas tyle uznania i bardzo żywej w odbiorze. Jeżeli się doda, iż autorka zaopatrzyła tom dodatkowo w zestawienie przekładów polskich z literatury hiszpańskiej, w wykaz ważniejszych literatury przedmiotu, w indeksy, to rzeczywiście zyskujemy bardzo ważną pomoc w poznawaniu szczytów się niejedynymi osiągnięciami sztuki pióra Hiszpanii.

W „Wydawnictwie Literackim” Zygmunta Felczyńskiego opublikował interesującą i chyba bardzo na czasie pracę p. t. „Fredreum i inne teatru przemyskie w latach 1696—1960”. Wobec mijania czasu, dosyć szczupłego zasobu materiałów archiwalnych, wymierania bezpośrednich świadków i organizatorów — praca ta przygotowana została nlewdwie w ostatnim momencie.

Z KSIĄŻKA NA TY

bie niejako główne uderzenie klientów rekrutujących się spośród wyżu. W związku z tym autorka przykładowo postuluje zwiększenie do roku 1970 zdolności przerobowych w dziewiarstwie oraz elastycyzowanie cen. Zastanawia się też nad tym, gdzie szukać możliwości zwiększenia produkcji do poziomu przewidywanych potrzeb.

POŁETATY

Sprawom tym jest poświęcony komentarz „Życia Gospodarczego”. Redakcja słusznie wytyka znikomą liczbę półetatów i brak pomocy w tej dziedzinie. Tymczasem handel, gastronomia, usługi potrzebują półetatów. Potrzebują ich również emeryci, studenci, kobiety obciążone dziećmi itp.

*

Ponadto zwracamy uwagę na artykuł Juliusza Golińskiego pt. „Rozwój działalności rzemieślniczej” w „Tygodniku Demokratycznym”, Wojciecha Jankownego — „Smutny los bibliotekarki” w „Tygodniku Kulturalnym”, Jana Bijaka reportaż o nielegalnej sprzedaży napojów alkoholowych pt. „U Marusi” w „Polityce”, Jana Heidrycha — „Wyd. rolny KW a praca wiejskich organizacji partyjnych” oraz Alfreda Zwadziszewskiego wypowiedź o współdziałaniu PZPR i ZSL na wsi wielkopolskiej „Wspólne działanie we wspólnej sprawie” w „Życiu Partii”.

LEKTOR